№ 40. Warszawa, dnia (25 Września) 7 Października 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1. Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . „ 5.—

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. w Poznaniu kwartal. mr. 3, na prowincyi 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.

Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy: **Księgarnia Polska Wiktora Templowicza** w Poznaniu Hotel Francuzki. **Zmiana adresu kop. 15.**

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12.** **„Nadesłane“** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Sprawa atmosfery, a pośrednio i życia organicznego na księżycu, najbardziej ją zajmowała. Z dziecinną radością chwytała wszystkie hipotezy, przez śmiałych badaczów wygłaszane, a ponieważ „chętnie wierzymy, czemu wierzyć pragniemy,“ więc każde przypuszczenie żywotności naszego satelity przedstawiało się jej pod postacią pewnika naukowego.

Jednego wieczora, zamknięta w swoim pokoju, do późnej godziny czytała i pisała. Nagle zaiskrzyły się jej oczy, buchnęły na twarz płomienie... porwała się od stolika i biegać zaczęła po pokoju.

— Tak!.. tak!..—powtarzała w nadzwyczajnem podnieceniu, trąc czoło i kreśląc palcem w powietrzu znaki zagadkowe—nic tam niema innego, jak właśnie to, o czem zawsze myślałam i mówiłam!

Wielka radość rozsadzała jej prawie piersi. Uczuła konieczną potrzebę podzielenia jej z kimkolwiek—z pierwszym, kto się pod ręką znajdzie, a będzie miał uszy do słuchania i umysł zdolny jako tako ją zrozumieć.

Bez namysłu otworzyła drzwi, przebiegła salonik i stanęła przed progiem mężowskim. Tu zawahała się przez chwilę...

Drzwi od pokoju Cieńskiego były tylko przymknięte. Pokój oświecała silnie duża lampa oraz dwie świece, palące się na kominku. Wogóle znajdowało się tam znacznie więcej światła, niż zwykle. Można było sądzić, że gospodarz uroczystość jakąś obchodzi i gości przyjmuje lub ich się spodziewa.

Ale nic zresztą więcej za przypuszczeniem tem nie przemawiało. Na zwykłem miejscu, przed wielkiem biurem, siedział Cieński, plecami do drzwi obrócony i tak mocno czemś zajęty, że nadchodzącej nie słyszał.

Wanda szybkiem spojrzeniem objęła pokój. Dostrzegła zapalone świece i męża zatopionego w pracy; dostrzegła też szczegóły drobniejsze: na zielonem suknie biura rulony złotych monet, a na głowie mężowskiej — czapkę osobliwą.

Była to czapka bez daszka, podobna do tych, jakie noszą pewne rodzaje wojska francuzkiego, i przyozdobiona w dodatku szerokim galonem złotym.

Własną myślą pochłoniona, obojętnie wszystko to przyjęła.

— Nie przeszkadzam? — spytała wchodząc, i zaraz jęła mówić dalej z pośpiechem wielkim:

— Powinszuj mi... Wielka, radosna nowina! Znalazłam nowe potwierdzenie mojej idei...

Cieński odwrócił się od biurka. Twarz jego była blada, oczy rozwarte szeroko, czoło groźnie namarszczone. Wbrew zwyczajowi, nie podniósł się z miejsca, lecz rozparty w fotelu, z wydętemi wyniośle wargami, wpatrywał się w żonę w milczeniu.

Jej przyjęcie to nie zraziło.

— Wyobraź sobie — mówiła prędko — na północy „Morza Chmur...“ wiesz, tego, co z „Morzem Burz“ graniczy i zkąd wspaniały „Tyho“ się wynurza... te wielkie, tajemnicze, szaro-zielonawe płaszczyzny... te płaszczyzny, w których ja zawsze ruch dostrzegałam... ruch dziwny, drżący, falisty...

Zatrzymała się, stropiona cokolwiek milczeniem i szczególną miną Cieńskiego. Ale otrząsnęła się natychmiast z tego uczucia i ciągnęła z większym jeszcze pośpiechem:

— Otóż te płaszczyzny... nie są—jak zawsze dowodziłam—ani pustyniami piaszczystemi nakształt naszej Sahary... ani zaspami, utworzonemi z wypalonej i rozkruszonej lawy wulkanicznej, lecz — olbrzymią, choć nizkopienną puszczą, kołyszącą się na wietrze i zawsze zieloną. Dowiódł tego Waren... Waren de La Rue, którego poglądy na atmosferę księżycową zgadzają się z mojemi i są ich naukowem potwierdzeniem. Zresztą, już Kepler...

Zatrzymała się, tak ją zdziwił i prawie przeraził wyraz twarzy mężowskiej.

A jednak ta twarz nie miała w sobie nic przerażającego, i w widzu obojętnym mogła była wzbudzić raczej wesołość, niż trwogę. Cieński, z marsem majestatycznym na drobnej, dziecięcej twarzy, ze szczupłą postacią, rozłożoną buńczucznie na szerokim fotelu, z rękoma wspartemi na poręczach, wyglądał jak król... z operetki Offenbacha.

Ale Wandę przeraził właśnie ów komizm, którego nigdy dotąd w mężu nie dostrzegała—komizm chorobliwy, odbijający jaskrawo od jego usposobienia, w którym nie było ani trochę młodzieńczej wesołości i pustoty.

Cieński przechylony w tył, z wysuniętą dolną wargą, mierzył długo wzrokiem stojącą przed nim żonę, i milczał.

Wreszcie wcisnął głęboko binokle w arkadę oczną i rzekł:

— To trwa już za długo. To skończyć się musi nareszcie. To boli, drażni i obraża.

Przechylił się bardziej jeszcze w tył, jakby chciał jak najdalej odsunąć się od Wandy...

— Kto pani jesteś — spytał z wyniosłem szyderstwem—że ośmielasz się przemawiać do mnie poufale, i nie upoważniona do tego przerywasz mi proces myślowy?

Przerażenie Wandy wzrosło. Tknęła ją myśl, że Cieński chory i że jej w napadzie gorączki nie poznaje...

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Kwestye wychowawcze.

W Towarzystwie hygienicznem zgromadziła się w dniu 23 z. m. pokaźna ilość słuchaczy, których ściągnął tam zapowiedziany odczyt dr. Nussbauma. Był ów odczyt w wydziale hygieny dziecięcej istotną treścią posiedzenia, a jakkolwiek omawiana w nim kwestya nie należy bynajmniej do nowych, za to liczy się z pewnością do najpopularniejszych ze względu na swoją wyjątkową doniosłość, a przedewszystkiem nagłość.

Do odczytu powrócimy niebawem; w tej chwili wypadnie nam nadmienić, że posiedzenie rozpoczęto sprawozdaniem z czynności komitetu, zajmującego się urządzaniem zabaw dla dzieci w ogrodzie przy ulicy Agrykoli, przyczem wyrażono nadzieję uzyskania zezwolenia władzy właściwej na zorganizowanie zabaw podobnych i w Ogrodzie Saskim także. Nadmienił sprawozdawca ks. Gralewski, że wyasygnowany pierwotny na ten cel fundusz, wynoszący 450 rs. okazał się niedostatecznym, i że dodano jeszcze rs. 500.

Ponieważ wogóle w sprawie zabawiania dzieci jesteśmy nowicyuszami, więc wydelegowano zagranicę kilka osób dla obeznania się z tem, co na Zachodzie, a zwłaszcza na Skandynawskiej północy dokonano w tej sprawie. Jest zatem nadzieja, że po powrocie tych delegacyj potrafimy racyonalniej niż dotąd zabawiać nasze dzieci, i że z czasem wynajdziemy tego rodzaju kamień filozoficzny, przy pomocy którego dzieci ubogich rodziców będą mogły tyleż czasu poświęcać zabawie, co dzieci bogatych i zamożnych. Zanim jednak nastanie ta godzina pożądana, niechaj nam wolno będzie raz jeszcze wyrazić powątpiewanie nasze co do konieczności obmyślania zabaw dla dziecka wszelkiego stopnia zamożności, a przedewszystkiem dla tych nieszczęśliwych, których zdrowie, światło i podanie ręki pomocy w walce życiowej powinno nam bardziej leżeć na sercu, aniżeli ich przypuszczenie do udziału w rozkoszach życia.

Dobre przed pięknem — użyteczne przed przyjemnem. Nie możemy spuszczać z uwagi, że zabawa nie jest treścią, a zaledwie przyprawą życia, i że są całe setki tysięcy istot ludzkich skazanych na programowe wykreślenie z życia tej przyprawy, których dla tego jednego względu, za odsądzonych czy wydziedziczonych uważać się nie godzi. Jednem słowem więcej troski o sanatorya dla dzieci tuberkulicznych, jak o zabawę dla dzieci zdrowych, a gdyby się ktoś upierać chciał przytem, że można jednocześnie troszczyć się o jedno i o drugie, to go zapytajmy z miejsca, jak też postępuje naprzód to pierwsze dzieło — niby ta sprawa sanatoryum — wiele już mamy zebranych pieniędzy gotowych, wiele nam jeszcze brak do sumy oznaczonej, i kiedy mniej więcej ten brak dopełnionym być może.

A teraz powróćmy do odczytu dr. Nussbauma.

Powiedzieliśmy już we wstępie, że niema w tym odczycie rzeczy nowych, ale przyznać nam wypadnie, że prelegent pod prawdę uznawaną powszechnie daje fundament naukowy—że ją przez to w umysłach ludzkich utwierdza i wzmacnia, tłómacząc przytem wcale niedwuznacznie, czem zagraża pomijanie jej czy ignorowanie w sprawie wychowania. Dochowaliśmy się pokolenia wątłego i nerwowego, to fakt nie podlegający zaprzeczeniu, a gospodarujemy się z zasobem jego sił fizycznych, tak jakbyśmy z generacyą nawet silnych i zdrowych nerwowo, obchodzić się nie powinni. Dr. Nussbaum widzi granice dla pracy dziecka naruszone u nas dotkliwie; uważa że te granice przekraczamy w okresie dniowym, zapożyczając się dla nauki dziecka u pory nocnej, którą przyroda chciała mieć niewątpliwie porą wypoczynku dla wszelkiego stworzenia. Po wskazaniach danych przez tę pierwszą mistrzynię, przyszła religia i ta po sześciu dniach pracy chciała mieć dzień siódmy dniem wytchnienia i źródłem restaurowania sił zużytych człowieka. I tego ostrzeżenia nieposzanowaliśmy jak należy, a okres pracy tygodniowej nadużytym jest równie jak okres dzienny. W Niedzielę odrabia swoje szkolne zajęcia dziecko nasze i mozoli się nad niemi niemniej gorliwie jak w dzień powszedni. Baczmyż przynajmniej, ostrzega dr. Nussbaum, abyśmy w okresie rocznym, inaczej mówiąc w tej tak nazywanej porze wakacyjnej, więcej mieli pamięci na konieczność przywrócenia równowagi starganemu przez dziesięciomiesięczną natężoną pracę, organizmowi młodemu.

Są to niewątpliwie wskazania pedagogiczne, ewangelicznej, rzec można, ważności, ale praktyka życia mimo naszego dla tych prawd uznania, zaprzecza im na każdym kroku. Nie my sami wreszcie jedni jesteśmy winowajcami w tej sprawie. Zachód cały nawołuje wielkim głosem o odrzucenie z programów szkolnych wszystkiego, co stanowi niezwiązany bezpośrednio z istotnym rozwojem dziecka, balast naukowy, a francuzcy pedagogowie i publicyści formalną krucyatę podnieśli przeciw nauce w gimnazyach i liceach języków zmarłych, które za główny zaród bezpożytecznego przeciążenia uważają. Co do nas, mimo że uważać się musimy za wykarmionych na starożytności od wielu, wielu pokoleń — mimo żeśmy sobie na wzorach klasycznych kształcili mowę, a zwrotami Cycerońskimi nawykli się posiłkować, niby własnymi, rodzinnymi, godnem jest zaznaczenia, że i nàm już dzisiaj języki zmarłe stawać się zaczynają wyrzutem sumienia prawdziwym, i że pierwsi z upragnieniem ujrzelibyśmy przeprowadzoną w tym duchu reformę szkolną.

Nie zbywa też i u nas na głosach ostrzegających, i oto wypadnie nam przytoczyć zapatrywania na tę sprawę „Posła Prawdy," któremi się on dzieli z czytelnikami swoimi:

„Jest to dla mnie zawsze przedmiotem wielkiego zdziwienia, czemu ludzie rozumni pojmują, iż np. z drzewa nie można zrobić struny skrzypcowej, a z metalu gąbki, a zarazem mniemają, że z człowieka można przez odpowiednią tresurę zrobić co się podoba. Pomijając wszelkie właściwości przyrodzone, rozkazujemy schematycznie: „ty będziesz się uczył przez osiem lat języków starożytnych— ty algebry — ty mechaniki" i t. d. Rzeczywiście organizm ludzki nawet w najuboższej swej postaci, jest ustrojem tak bogatym, że z niego zawsze wydobędziemy bodaj maleńką zdolność pożądaną. Źrebakowi nie wkujemy ani jednej deklinacyi łacińskiej, natomiast każdy chłopiec mniej lub więcej wyuczy się całej gramatyki. Ale czy warto i należy dokonywać tych gwałtownych operacyj, czy nie marnujemy przez nie olbrzymiej sumy stłumionych uzdolnień i ich owoców?

„Jest to nietylko bezcelowe kaleczenie jednostek, ale jest to dobrowolne i marnotrawne zubożanie się w ogólnych dorobkach kultury. Gdyby ludzkość od pierwszych chwil systematycznego kształcenia się, rozwijała istotne siły umysłowe każdego osobnika, do sięgłaby ona dziś tego punktu w postępie, do którego dojdzie może za dwadzieścia wieków. Najpowierzchowniejsza obserwacya wskaże nam, że człowiek z nadzwyczajną szybkością przyswaja sobie te wiadomości, do których posiada zdolność i czuje zrodzoną z niej sympatyę. Pozwolę sobie tu przytoczyć przykład z własnego doświadczenia. Nie odznaczałem się nigdy, mówi „Poseł Prawdy" trwałą i szczegółową pamięcią, a jej mocarze wzbudzali we mnie podziw. Mimo to, kiedy dla dogodzenia silnemu upodobaniu, czytałem wielkie i przepełnione drobiazgami dzieła ogrodnicze, chociaż one leżały daleko poza granicami głównych moich studyów, zapamiętałem łatwo ogromne massy nazw, faktów i spostrzeżeń, które dotychczas tkwią niezatarte w moim umyśle. Dlaczego? Bo mnie żywo zajmowały.

„Otóż zbadawszy upodobania młodzieży szkolnej, przekonamy się, że niezmiernie mała cząstka objawia je do języków starożytnych. I to jest główny powód, dla którego chłopiec ucząc się przez osiem lat łaciny i greki nie zna ich dobrze po wyjściu z gimnazyum. Co mu w głowę wbije dziś przymus, to mu jutro wyważy z niej obojętność lub odraza.

„Nie lekceważę bynajmniej znajomości języków starożytnych, oceniam należycie ich wielką rolę historyczną i znaczenie dla teraźniejszości, ale sądzę, że one powinny być przedmiotem studyów specyalnych, nigdy zaś częścią składową szkół powszechnych. Niech istnieją osobne dla nich zakłady—to wystarczy. Jeżeli zaś jakiś uczony (naprzykład historyk) znajdzie się w potrzebie przyswojenia sobie tych języków dla korzystania bezpośrednio ze źródeł, pozna je w nieporównanie krótszym czasie i z mniejszym nakładem pracy, niż gimnazista. A co do humanizmu płynącego z tej strony, porzućmy pusty frazes.

Historya, biologia, fizyologia, psychologia, socyologia, historya literatury, dostarczają więcej zasad i budzą więcej uczuć humanitarnych, niż wszystkie gramatyki i słowniki greckie i rzymskie. To są wystygłe wulkany, skrzepłe lawy, kopalne pomniki i formy życia, które ogółu nie elektryzują. Szkoła może mieć na celu tylko: przygotowanie swych wychowańców do osiągania szczęścia i wykrywania prawdy. Drogi do szczęścia łacina z greką nie wskazują, a do wykrycia prawdy pomagają zaledwie w maleńkim zakresie badań szczególnych. Po co więc to

brzemię kłaść od dzieciństwa na wątłe ramiona młodych pokoleń."

Tyle „Poseł Prawdy." Pomieściliśmy przed kilku miesiącami w „Tygodniku“ głos obrony przeciw zdecydowanemu potępieniu nauki języków zmarłych; dziś tem chętniej mieścimy zapatrywania na tę sprawę szanownego publicysty naszego, że niema w nich namiętnych napaści i potępień, jest owszem uznanie dla roli, jaką odegrała nauka starożytności w naszym cywilizacyjnym rozwoju, a to o co w duchu postępu dopomina się „Poseł Prawdy" dla dzisiejszych pokoleń, to winni rodzice i wychowawcy, zdaniem naszem, rozważyć jako pełne treści wskazanie, dopomagające do powzięcia decyzyi w niesłychanie trudnem i skomplikowanem zadaniu pedagogicznem naszych czasów.

R.

AUREOLA.

Obrazek fantastyczny.

Z kochanką młodą szedł poeta przez gaj zielony. Słały im woń brzozy, klony rozwite, kwitnące lipy — słały im szumy drzewa i krzewy leśne—zorza wieczorna słała im blaski różane.

Szli w promieniach miłości, jak bogowie piękni, jak bogowie szczęśliwi. On chwilami trącał w struny lutni, i wtedy w powietrze piosnka ulatywała radosna. Czoło młode stroił mu wieniec laurowy, w źrenicach płonął ogień natchnienia.

Ona była, jak poezyi kształt widomy — wdzięczna i smukła; w błękitnych jej źrenicach, jak w toniach tajemniczych jezior, żył przecudnych snów świat zaklęty — po czole marmurowem snuły się mgły marzeń i zadumy—na ustach kwitły róże miłości.

Szli dłoń w dłoni, a dusze ich łączyły się ze sobą w związek tajemniczy, nieuchwytny, dusze ich mówiły sobie to, czego słowem ludzkiem wypowiedzieć nie można...

Zorze przygasły—na lazury niebios miesiąc wypłynął srebrzysty — oni szli wciąż dłoń w dłoni, przez gaj wonny, wśród szeptu liści, wśród kwiatów cichego szmeru. Księżyc srebrzył im drogi.

Na krzakach paproci, na krzakach róż dzikich rozbłysły cudne zielonawe światełka — robaczki świętojańskie tajemniczymi blaskami przystroiły las cały.

Poeta pochylił się, jął zbierać świetliki i stroić nimi złote włosy kochanki; i ona zdejmowała je z krzaków róż i kładła na laurowy wieniec poety.

Ala świetliki ćmiły się we włosach dziewczyny i na laurowych liściach—ćmiły, szarzały i gasły...

Duszę poety ogarnął smutek.

— O miła!—mówił—jam chciał twoje skronie w świetlistą ubrać koronę—pragnę blaski wszystkie zlać na twoją głowę, cuda dnia i nocy chciałbym przynieść tobie... Dzwonki leśne zrywałem i stroiłem nimi twe warkocze—kwiaty więdły—światła gasną w twojej skroni...

— Miły mój! — mówiła dziewczyna — twój wieniec laurowy nie błyszczy w ciemnościach, aureoli świetlanej brak twojemu czołu...

I szli dalej smutni, a usta ich szeptały: czemu?! czemu?!

I przyszli na wzgórze, nad którem brzoza płacząca kołysała się w powietrzu wonnem; porastały je paprocie i dzikie róże, a świetliki rozłożyły się na niem wieńcem potrójnym i błyszczały niby klejnoty bajecznej, w snach marzonej, korony. U szczytu wzgórza pochylony stał krzyżyk czarny.

— Kochanko moja! patrz—to mogiła—mówił poeta.

I przystanęli dum pełni i pytań. Dziewczyna jasną głowę pochyliła na ramię młodzieńca, on rękę podniósł.

— Chciałbym pytać tego ducha, co w blaski stroją ma mogiłę, kim on?! — rzekł prawie gniewnie.—Chciałbym zakląć go w imię miłości naszej, co piękną jest jak boski sen— lub w imię pieśni, która wre w mojem łonie, by wstał i mówił!

Nad opuszczoną, samotną mogiłą stali cisi i zadumani — świetliki paliły się nad nią blasków fosforycznych koroną.

Wtem zdało się obojgu, że z mogiły wstał cień i mgłą świetlistą wznosi się ku górze, już gałązek brzozy dotyka i stoi przed niemi widomy, świetlany.

Głosem podobnym do szeptu drobnych listków w noc wiosenną, mówił duch:

— Zakląłeś mnie w imię pieśni, więc jestem. I mnie w wiosny mojej dniach jawiła się pieśń-kochanka. Szła na duszę moją wichrów huraganem, burzą błyskawic i łez powodzią—szła tłumami przecudnych mar, szła zaświatową piękna tajemnicą. Dusza moja wtedy podobną była do harfy drżącej, rozśpiewanej... Ale wnet na harfie tej Przeznaczenie położyło dłoń swoją ciężką, niemiłosierną dłoń, i rwać się zaczęła struna po strunie. Najpierwsza cicho pękła struna pieśni, i nie odezwała się już nigdy, nigdy. Za nią zerwała się złota struna sławy. Potem z jękiem rozpaczliwym pękła struna szczęścia. Została mi struna czynu i serca, ale na strunie serca zostawiło Przeznaczenie rysę głęboką - i żyłem. Żyłem sercem i czynem...

Mówiąc tak, duch rozświetlał się coraz bardziej i płonął cały bladem, tajemniczem światłem...

W szafirach powietrza, po krańcach widnokręgu, powstawać zaczęły podobne mu mgławice świetliste, wszystkie zlatywały się do niego, krążyły dokoła wzgórza, na którem stał niby wódz tych duchów-płomyków.

Poeta i kochanka jego nie wiedzieli czy jawą żyją, czy snem. A gdy o świecie opuszczali gaj zielony, mówił poeta:

— Kochanko moja, odwróć odemnie oczy twoje cudne—jam pieśniarz tylko, on bohaterem poematów Bożych—dla mnie zimny liść laurowego wieńca, dla niego aureola złota i w świecie duchów hetmaństwo...

Helena Ceysinger.

Z GALICYI.

Kraków gościł w swoich murach zjazd dziennikarzy słowiańskich, zostających pod berłem Austryi. Celem zjazdu było przyjęcie ze strony różnych szczepów słowiańskich pewnej obowiązującej solidarności plemiennej, która sformułowana w mowie wstępnej Swietozora Hurbana (Vajańskiego), poddaną została uchwale zgromadzonych przez dr. Antoniego Beaupré. Solidarność ta, a raczej wzajemność słowiańska rozumianą być winna, w myśl rezolucyi powziętych, dwojako: duchowo i praktycznie.

Co do I-ej rozumie ją uchwała zjazdu jako wynikającą z idei wspólności plemiennej i kulturalnej wszystkich bez wyjątku ludów słowiańskich. Winna ona być rozszerzaną i popularyzowaną przez każdą z poszczególnych literatur, a to za pomocą ogłoszeń przekładów, krytyk i uwag.

Co do II-ej. Przez wzajemność praktyczną rozumie zjazd 1 o komunikowanie sobie wzajemne druków i wymianę czasopism; 2 o Polecanie słowiańskich wydawnictw jednostkom zamożniejszym, a to dla szerzenia znajomości języków pobratymczych, wiadomości o stosunkach narodów słowiańskich i podniesienia w drodze poczytności materyalnego położenia dziennikarstwa słowiańskiego.

Przyjmowały udział w zjeździe i kobiety także. Czeską narodowość przedstawiała p. Hovorkówna, córka redaktora „Hlasu narodu."

Na wzmiankowanych postanowieniach zakończył się zjazdu dzień pierwszy. W drugim dniu czytał referat swój dr. Prokop Gregr: „O potrzebie utworzenia słowiańskiego biura korespondencyjnego," a następnie poseł August Sokołowski miał rzecz: „O potrzebie założenia organu dla spraw słowiańskich w języku francuzkim lub niemieckim." Co do obu projektów zapadły w zgromadzeniu uchwały potwierdzające ich wprowadzenie w życie.

Szczegółów dotyczących wycieczek członków zjazdu, nieuniknionych odwiedzin salin wieliczkowskich, wygłoszonych tamże mów burmistrza Kocha, dr. Dziewońskiego i odpowiedzi Biankini'ego streszczać nie będziemy. Na pomniku Mickiewicza złożyli wieńce Czesi i Horwaci. W czasie festynu pożegnalnego w redakcyi „Nowej Reformy" nadeszło około 200 telegramów od osobistości najwybitniejszych: posłów, redaktorów, publicystów, literatów, a także od ministrów Kaicla, Jędrzejewicza i byłego ministra Dunajewskiego.

Partya socyalno demokratyczna urządziła pochód, w którym wzięło udział przeszło 1,000 osób. Wiadomość podana przez dzienniki wzmiankuje jednocześnie o intencyi przywódców tego stronnictwa urządzenia demonstracyi przeciw zjazdowi dziennikarzy słowiańskich, czemu nikt z ludzi pamiętnych wystąpień w Wiedniu i solidaryzowania się tych panów z niemcami, dziwić się nie powinien.

W dniu 25 b. m. goście uczestniczący w zjeździe opuścili Kraków.

W połowie Września ukończyła prace swoje czwarta i ostatnia konferencya nauczycieli i nauczycielek. Wiceprezydent krajowej rady szkolnej, p. Michał Bobrzyński w mowie pożegnalnej zapewnił uczestników zjazdu o chęci uwzględnienia postulatów wszystkich razem dotychczasowych konferencyi, a osobiście zastrzegł się tylko przeciw jednej z uchwał, tej mianowicie, która proponowała zmniejszenie w szkołach godzin języka niemieckiego. Zresztą chwalił działalność i stwierdzał użyteczność tych zgromadzeń peryodycznych. Na tem samem posiedzeniu przyjęto do wiadomości sprawozdanie o funduszu emerytalnym, asygnowanym w ostatnim roku dla nauczycieli szkół ludowych w wysokości 305,000 złr., z którego korzysta osób 1,441, co wynosi przeciętnie biorąc 211 reńskich rocznego wsparcia dla człowieka, który stargał siły w najmozolniejszym i zarazem najniezbędniejszym z zawodów. Jest to oczywiście kwota, która nie dopuszcza ani żyć, ani umrzeć, ale pensya emerytalna musi być zbliżona do tej, którą pobiera nauczyciel w czynnej służbie zostający. Wiadomem jest, jakie są te płace i całe wogóle uposażenie nauczycieli elementarnych w Galicyi. Dowiadując się cyfr szczegółowych i okoliczności ubocznych, opisy Eugeniusza Sue w „Marcinie podrzutku,” malujące nędze identyczne we Francyi, w epoce przed pięćdziesięciu mniej więcej laty, nie wydają się bynajmniej przesadzonymi.

W jednem z pism codziennych znajdujemy w korespondencyi ze Lwowa dosyć szczególną uwagę, dotyczącą uchwały zapadłej na tym samym zjeździe nauczycielskim. Korespondent mówi o wniosku nauczycielki p. Kosteckiej, żądającym niektórych zmian w regulaminie dla żeńskich szkół wydziałowych w Galicyi. Referentka wniosku żądała, aby w drodze ustawy specyalnej zabronionem było na przyszłość uczennicom branie udziału w wycieczkach, zabawach z tańcami, teatrach amatorskich i t. p. urządzanych przez osoby prywatne, gdyż zdaniem tej pani odwodzi to uczennice *od moralnego życia w przyszłości.* I pomimo, że przewodniczący obradom p. Bolesław Baranowski, wykazywać miał całą niestosowność podobnego wystąpienia, pomimo że chcąc zgromadzenie uchronić od kompromitacyi, odradzał on głosowanie nad wnioskiem—przeszedł ów wniosek większością głosów.

To się nazywa informować mylnie a świadomie. Nie mógł był wniosek przedstawiać się jako absurdum, bo byłby sobie nie pozyskał większości złożonej z samych nauczających. Nie mógł też być sformułowanym w ten sposób, i w tej właśnie jego reprodukcyi dziennikarskiej rzuca się do oczu przeinaczenie tendencyjne. P. Kostecka nie potrzebowała bredzić o odwodzeniu od moralnego życia w przyszłości, bo jej wystarczało jako argument odwodzenie od nauki w czasie teraźniejszym przez zabawy i rozrywki, których nadmiar w istocie wprowadzamy najnieopatrzniej w życie młodzieży naszej.

Jednem słowem nierozważne naruszanie ustroju nerwowego za pomocą nauki, leczymy zwykle wysiłkiem nerwów podwójnym innego rodzaju, mianowicie czuwaniami nocnemi i wogóle ilością i jakością wrażeń, rujnujących spokój wewnętrzny wszystkich dusz młodych.

Oto czem jest przefiltrowanie się każdej wiadomości przez dziennikarskie sitko.

Z.

PRZY OTWARTEM OKNIE.

Wieczór tak cichy...
Od pracy ciężką podnoszę głowę...
Oh, precz—molochy wy papierowe!..
Wieczór tak cichy...
Półszepty jakieś lecą po łące,
I wonie dziwne — cudne — mdlejące
Wydają sennych kwiatów kielichy—
Wieczór tak cichy...

A ciebie niema...
Zda się, że jeszcze liście się kłonią
W marzeniu twoją trącone dłonią...
A ciebie niema...
Zda się, drga jeszcze szpaler grabowy
Echem twych kroków i twojej mowy.
Zda się, żeś jeszcze tu, przed oczyma,
A ciebie niema...

Przeszło... skonało...
Róże i pieśni, sny i marzenia,
Smutek bez końca duszę ocienia...
Przeszło... skonało..
Nie wrócić szczęściu, kiedy się prześni—
Sen ukochany odżyje w pieśni,
I ból tęsknoty pomięsza z chwałą...
Przeszło... skonało...

Marion.

Klęski żywiołowe.

Jednym z krajów środkowej Europy, przez tegoroczną powódź Wrześniową najdotkliwiej nawiedzonych, jest Bawarya. Przez ciąg dni kilkunastu z całego porzecza Izary sygnalizowano do stolicy tylko klęski, katastrofy, straty materyalne w nieruchomościach, ziemiopłodach, inwentarzu gospodarskim — w ludziach nawet, a dziś jeszcze dochodzą echa i szczegóły zniszczeń, dotąd materyalnie nieobrachowanych. Wszędzie uszkodzone kolejowe planty, zerwane groble, podmyte tamy, budowle zabrane przez wodę, a bystra zazwyczaj, ale szmaragdowego odcienia przezroczysta Izara, zamieniła się w ciągu dni kilku w jakiś olbrzymi mętny nurt, groźny, niszczący, nieubłagany.

Bezradni jesteśmy po większej części wobec rozpętania żywiołów, a żaden z nich nie jest tak nieodgadnionym jak woda. Zrazu nie przewiduje nikt, do jakich rozmiarów dojść może przybór, ale optymizm człowieka nie pozwala mu nigdy prawie przygotować możliwego oporu. Zawsze w jednostkach i w masach przemoże w takich razach wiara, że za chwilę rozpocznie się opadanie wód, że to, co jest w danym momencie, to już maximum niebezpieczeństwa, ostatni wysiłek rozhukanego żywiołu, ostatnia granica spustoszeń. Tymczasem niebezpieczeństwo od godziny do godziny — od dnia do dnia większe — tam, gdzie przed chwilą był ląd suchy, teraz toczą się fale, groza wzmaga się, odwaga opuszcza, siły ustają i przychodzi wówczas ten kryzys bezsilności, w której dotknięty nieszczęściem nie przewiduje już, nie obmyśla, nie przedsiębierze nic zgoła. Katastrofy wodne taką zazwyczaj idą koleją.

Ze szczególnem natężeniem szalała Izara pod Monachium. Jak wiadomo, miasto leży w obszernem zagłębiu, stanowiąc tego zagłębia część najwynioślejszą. Mimo to ulice najniżej położone zalane były zupełnie. Izara ma pod Monachium koryto uregulowane, ale tym razem sztuczne umocnienia nie wytrzymały naporu wody. Tamy podmyte zostały już w pierwszych dniach wylewu, a dalszem następstwem było uszkodzenie plantu kolejowego, przez co komunikacya z miastem została przeciętą. Równie dotkliwie dało się uczuć mieszkańcom Bawarskiej stolicy naruszenie gmachu, w którym mieściła się instalacya elektryczna, wskutek czego w tych dniach paniki miasto pozbawionem było oświetlenia. Z innych budowli ucierpiał gmach, mieszczący wystawę sportową i niewykończone jeszcze kąpiele ludowe.

Nie na tem jednakże ograniczyły się dla Monachium szkody zrządzone przez powódź Wrześniową; te, które opowiedzieć mamy, najdotkliwiej uczuć się dały rozmiłowanym w upiększeniach swego miasta mieszkańcom Mnichowa.

Do takich upiększeń liczył się most łączący Bogenhausen z ogrodem angielskim, wystawiony w roku 1786, noszący nazwę: Max-Josephsbrücke, mający 130 metrów długości wraz z przyczółkami. Zniosła go woda 13 Września wieczorem. Cały ogromny materyał żelaztwa spiętrzyły fale na jeden stos i złożyły go u filaru, który się oparł powodzi. Patrząca z wynioślejszego brzegu ludność miasta widziała jak rozhukany żywioł druzgotał massywne szyny i kratownice niby drobne wióry drewniane. Dnia 14 Września przyszła o godzinie 5 po południu kolej na drugi most, podarowany miastu w roku 1893 przez księcia Rejenta, od którego to ozdobne dzieło inżynierskie otrzymało swoje nazwisko. Rozżala monachijczyków całkowite zniszczenie przytykających do tego mostu ulubionych plantacyi miejskich zwanych anlagami, które kosztowały z górą 500,000 marek i stanowiły w istocie wielką ozdobę miasta. Ani śladu dzisiaj tych plantacyj—kwietniki i gazony pokryte mułem i poprzerzynane rozpadlinami, które powyrabiał nurt rzeczny, a wybiegłe drzewa wyrwane z korzeniami dopełniają obrazu zniszczenia, którego ślady nie tak łatwo i nie byle jakim kosztem zatrzeć będzie można.

Poza obrębem miasta urocza dolina Izary gęsto usiana willami, pokryta ogrodami, stanowiącymi cel letnich wycieczek mnichowian, stała w dniach 13 i 14 Września pod wodą. Stojący na tym obszarze dworzec kolejowy i kilka tartaków poruszanych przez bystry prąd Izary, bardzo mocno uszkodzone.

Nietylko najstarsi mieszkańcy stolicy, ale żadna z kronik miejskich nie wspomina, aby

kiedykolwiek wody tej rzeki podniosły się do wysokości 4 metrów po nad zwykły poziom, jak to w obecnej powodzi miało miejsce. Rzeczoznawcy obliczali, że przez ciąg paru dni, w których katastrofa dosięgła kulmina cyjnego punktu, nurt Izary niósł na sekundę 1,200 metrów sześciennych wody. To też i szkody odpowiednie są do natężenia katastrofy. Rachują je dzisiaj już minimalnie na 5 milionów marek. Co się tyczy tych, które zrządziła powódź extra muros, niema jeszcze wiadomości szczegółowych. Długo pamiętać będzie Bawarska stolica rok 1899.

Ostatni rozdział.

Najprzód depesze telegraficzne, a po nich bardziej szczegółowe sprawozdania, rozniosły po Europie wieść, iż pod dniem 23 Września roku bieżącego, w urzędzie stanu cywilnego jednego z dystryktów miasta Budapesztu na Węgrzech zapisanym został na str. 230, pod numerem bieżącym 812 akt następującej osnowy:

„Przedemną Władysławem Kozary, urzędnikiem Stanu Cywilnego, stawił się w dniu dzisiejszym:

Maurycy Jokay de Asvay wyznania ewangelicko-reformowanego, członek izby magnatów urodzony 20 Lutego 1825 roku z ojca Józefa de Asvay Jokaya i małżonki jego szlachcianki Pulay—tudzież:

Bella Gross wyznania mojżeszowego, aktorka, zamieszkała w Budapeszcie przy ulicy Szandy, córka maszynisty Maurycego Gross i jego żony urodzonej Flamm, licząca wieku lat 23.

„Osoby wymienione w obecności dr. Józefa Sebastyana adwokata, oraz zastępcy żupana Teodora Budy, zawarły ze sobą akt małżeński."

Tyle depesza telegraficzna. Późniejsze objaśnienia mówią, że znakomity pisarz znał tę pannę Gross, inaczej zwaną Nagy, od lat trzech, że bliższe poznanie zawdzięczają dzisiejsi nowożeńcy uroczystości jubileuszowej Petöfi'ego, na której artystka deklamowała okolicznościowy utwór Maurycego Jokaya ku uczczeniu pamięci wielkiego poety, noszący tytuł „Apoteoza." Pokazuje się, że deklamacya była udatna, albowiem po niej dopiero dyrektor komedyi zaangażował do swego teatru aktoreczkę, która przedtem występowała tylko w Budzie, w teatrze Christenstadzkim. Nie mówią sprawozdania jak na tem zaangażowaniu wyszedł teatralny impresario, w każdym razie zaryzykował on o wiele mniej, aniżeli wielki autor epopei noszącej tytuł „Aż do śmierci," któremu wzamian za tak spóźnione i wogóle tak szczególne postanowienie przyjdzie prawdopodobnie dźwigać jego następstwa także „aż do śmierci." Szczęściem, że ta, jeśli sądzić mamy z wieku Jokaya, zbyt odległą być nie powinna.

Jeszcze kilka szczegółów mniej ważnych, ale i tych nie chcielibyśmy pominąć milczeniem ze względu, że sam ów fakt ekscentryczny wysoce, nie jest tak zupełnie usprawiedliwionym, jak go chce widzieć większość dziennikarstwa. Otóż twierdzą, że na dobre zdecydował się Jokay na ten hazard przed paru dopiero miesiącami, a i tak mimo decyzyi musiały być jeszcze wątpliwości i wahania, skoro na tydzień przed spisaniem aktu właściwie zaczął Jokay, wraz z wymienionym powyżej adwokatem swoim, zbierać potrzebne dokumenty i załatwiać formalności niezbędne.

Pilno było widać stronom tym razem, skoro musiał burmistrz Peszteński uwolnić nowożeńców od ogłaszania zapowiedzi, czemu się dziwić nie należy ze względu, że koniecznie śpieszno być musi człowiekowi urodzonemu w roku 1825, kiedy go bies opęta do tego stopnia w roku 1899, to jest w 74 lat wieku.

Mówią o wybornym humorze Jokaya przy akcie małżeńskim, przytaczają jego odpowiedzi dowcipne, mimo tego trudno jest uwierzyć w ten humor, a nadewszystko w brak przymusu u człowieka, który bądź co bądź zastrzega sobie, aby to szczęście odbyło się przy drzwiach zamkniętych.

Rok 74, to nie pora zawierania związków małżeńskich, ale niekoniecznie jest się w tym wieku zdziecinniałym zupełnie, i nie musi być takim Jokay, skoro pamiętał o zamknięciu drzwi przed publicznością.

Juścić, mówiąc szczerze, z jakiegokolwiek punktu widzenia chcielibyśmy oceniać ten krok, koniecznie wydać się on nam musi bardzo przykrą i zniechęcającą profanacyą. Ubliżył starzec swoim siwym włosom, łącząc zgrzybiałość własną z wiekiem młodym. Ubliżył stanowisku społecznemu, gdy jako członek izby magnatów związał się na resztę dni swoich z jakąś aktoreczką podrzędnego, a niechby tam i niepodrzędnego, teatru. Ubliżył wielkiej sławie literackiej i popularności obywatelskiej zawierając małżeństwo najdoskonalej mięszane, tolerowane wprawdzie jako wytwór polityki ultraoportunistycznej, ale do którego nie wolno się było uciekać człowiekowi posiadającemu tyle miłości i czci w narodzie swoim. Ludzie tacy do pewnego tylko stopnia mają prawo folgować kaprysom własnym—całkowicie nie należą oni do siebie.

W szczególnych żyjemy czasach. Upadek w błoto ludzi, faktów i zasad jest rzeczą za dni naszych każdochwilową.

PREMIÓWKA.

Epizod z naszych czasów.

PRZEZ

A. K. S.

(Dalszy ciąg).

Co w tej wycieczce miał do roboty Fichten i Bieluń, którym tak drobiazgowa znajomość flory miejscowej dosyć była obojętną z natury ich pracy — co nadewszystko sposobiący się do karyery prawniczej Piątkiewicz, to już była rzecz, którą ci panowie między sobą usprawiedliwili zapewne zupełnie wystarczająco.

Kozera mówił, że jedzie zedrzeć swoje ostatnie buty studenckie, a że to właśnie było po skończonych egzaminach i dyplomie, więc i dla rozpędzenia spleenu i tremy zarazem, których go nabawiało obowiązkowe rozpoczynanie jakiejkolwiek karyery urzędniczej czy obrończej. Dla jednej zarówno, jak dla drugiej żywił w cygańskiej swojej duszy zdecydowaną niechęć, jeśli nie gorzej jeszcze.

Wybierano się na kilka tygodni, a że Stanisław mimo wieku młodego porządnym był dosyć i metodycznym we wszystkich osobistych swoich sprawach i interesach, więc nieomieszkał papierów, świadectw i przedmiotów wartości oddać na ten czas do przechowania stryjowi. Między tymi zaledwie rzucił okiem na kopertę, przyszła mu myśl, iżby na wypadek jakiś nieprzewidziany napisać na niej „Depozyt," i z tym napisem wręczył ją panu Joachimowi, nie objaśniwszy wszakże o jej zawartości, a tem mniej o sposobach, przy pomocy których przyszli wspólnicy do jej posiadania. Takich tajemnic nie powierza się człowiekowi obcemu dążnościami, a zwłaszcza nieumiejącemu poznać się na wartości ludzi przekonań — prawdziwych przekonań. Wieleby on to uwłaczających komentarzy i hipotez wysnuł sobie z tego wydarzenia — strach było pomyśleć. Oddał więc milcząco ten plik papierów cały, który pan Joachim przy nim zaraz w osobnej tece, a tekę we wnętrzu obszernego biura umieścił. Ponieważ zaś poprzedniego dnia odebrał był Stanisław list z domu, w którym użalał się ojciec jego na niepomyślny wogóle stan zdrowia swego, wiąc na żądanie stryja, miał mu dnia tego po południu po porozumieniu się z kolegami, wręczyć notatkę, w której główne przynajmniej etapy wycieczki wraz przypuszczalnem do nich przybyciem podróżników oznaczone być miały. „Prosta formalność," mówił potem p. Joachim Stanisławowi, wsuwając notatkę poza ramę ściennego kalendarza.

Cisza, nieznośna cisza zapanowała w domu starego samotnika po odejściu młodych. Upalne dni Lipcowe powiększyły o wiele jego zgryźliwość, a spożywany bez towarzysza obiad wywoływał nastrój umysłu odbijający się najdotkliwiej na losach służącego Jakóba, który od dwudziestu z górą lat uczył się przecież wróżyć o humorze z podniesienia barometru, stopnia ciepła lub mrozu, słoneczności dnia i z tych tysiącznych drobnostek, z których każda posiada własność wyprowadzania z równowagi pokłóconych z życiem śledzienników. Tym razem jednakże Jakób postradał, jak mówią francuzi, swoją łacinę. Obiad był stale nieznośny, głupio obmyślany, po partacku zrobiony, kawa czarna przypominała smakiem paloną lukrecyę, a wino, wino pozamieniano chyba w piwnicy, boć przecie niepodobieństwem było jawnem, aby to miało być to samo wino, które przed laty kilku pan Joachim za wskazaniami sumiennych znawców obrał i sprowadził. Pewnego dnia nawet w rannych godzinach znalazł się pan Joachim u dobrze znajomego sobie lekarza, któremu niezmierną ilość dziwów naopowiadał o ruinie swego organizmu, tak, że ten zdumiony, po bliższem dopiero rozpoznaniu stanu zabawnego pacyenta, zdołał zrozumieć kogo ma przed sobą. Starał się

tedy trafić mu w myśl, ale okazało się, że pan Joachim przyszedł tu bez myśli gotowej, więc gdy przeszli wszystkie koleją źródła mineralne, poczynając od alkalicznych a skończywszy na siarczanych, bezpotrzebnie, gdy się myślą przejechali po Tatrach, górach Harceńskich, Alpach Tyrolskich, Włoskich, a nawet Szwabskich, gdy i na Pireneje krzywił się chory Molierowski nielitościwie, dowlekli się przecie do morza, i tu nareszcie po długiem na Ostendę, Trouville i t. p. oburzeniu, utkwił niespodzianie pan Joachim w Dunkierce, z którą go niegdyś pewne, obce zresztą zupełnie lekarzowi, wspomnienia wiązały. Perspektywa gonienia za ubiegłemi niepowrotnie marami młodości jeszcze raz pochwyciła w swoje szpony człowieka, który przed paru tygodniami gotów był przysięgać, że wszystkie swoje z życiem porachunki oddawna ma za podsumowane. Musiała mu tedy, jak widzimy, pustka i bezcelowość życia w szczególnie dotkliwy sposób dać się uczuć. Ani wiedział do jakiego stopnia przywiązał się do tego chłopca, dotąd prawie zupełnie sobie obcego, ani w części oceniał wiele go obchodziły jego losy i co sobie na nim w przyszłości zakładał, chociaż co prawda sama drażliwość na jego życiowe pomyłki i zboczenia, powinna mu była wykryć część jakąś tej tajemnicy. Bądź co bądź, powrócił tym razem do domu swobodniejszy, i odtąd ku uciesze Jakóba zajął się przygotowaniami do podróży.

Było to jakoś po połowie Lipca. Ołowiane niebo odbijało po dniu skwarnym ostatnie błyski zachodzącego słońca, a pan Joachim chciał właśnie wziąść do ręki odkładaną już dzisiaj po dziesięć razy, książkę, gdy do pokoju wsunął się Jakób. Mówimy. wsunął, nie wszedł, bo poufały we wszelkich ważniejszych sprawach służący, od czasu tego podrażnienia, dziwnie stał się teraz baczny, aby najmniejszym nawet drobiazgiem pomyślniejszej konstelacyi tego zmiennego humoru nie spłoszyć. I tym razem stanął zdaleka i niezdecydowanym głosem zaczął:

— Jest tam jakiś... coby się chciał z panem, jak on powiada, rozmówić...

— Któż to jest?

— Nie mogę go jakoś przesylabizować. On mówi, że ma do pana na osobności dwa słowa.

— A tobie tych dwóch słów nie mógłby powiedzieć?

— Nie chce — jużem go na różne sposoby próbował, ale nie chce.

— Na co on wygląda?

— Albo ja wiem... Zupełnie prostej kondycyi to on chyba nie jest, ale też i z panów nie jest. Mówi tak niby trochę lepiej odemnie, ale na moje spojrzenie, to nie ma on miny takiego, co to paltota komuś w życiu ani razu nie zdejmował.

— Nie chce mi się tej rozmowy strasznie. Żebyś go jakim sposobem mógł się pozbyć— możeby jutro, albo kiedy...

— Kiedy bo ja nie powiedziałem wszystkiego — on to niby nie tak do wielmożnego pana przychodzi, jak do pana Stanisława. Przyszedł jakiś taki radosny, jakby go niewiedzieć co spotkało, a dopiero jakem mu powiedział, że pan młody wyjechał, tak go naraz z przeproszeniem pana kuraż opuścił; kręcił się po przedpokoju, kręcił, a w końcu zaczął mię męczyć, żeby się mógł widzieć z panem, bo niby o wielmożnym panu, to on się, jak widzę, dopiero odemnie dowiedział. Ja myślę, że on chce pana Stanisława.

— No, trzeba z tem skończyć jakkolwiek. Wpuśćże go.

Za chwilę stanął przed panem Joachimem człowiek lat może czterdziestu, nie duży, nie mały, postawy szczupłej, ruchliwy, z twarzą wygoloną, oprócz niewielkich faworytów przystrzyżonych — człowiek, w którym doświadczenie życiowe pana Joachima kazało mu się domyślać starszego garsona dobrej restauracyi, lub kogoś podobnego pod względem hierarchicznego na świecie stanowiska.

Zdziwienie gospodarza domu jednakże obudziło się niezwykle, kiedy ten przybyły zaczął z miejsca odśpiewywać, jak gdyby przedtem przygotowaną i wyuczoną tiradę.

— Przyszedłem jaśnie panie, wedle tego, jak mi obowiązek mój każe, złożyć moje powinszowania, które jako że dotyczą tak nie spodziewanego pomnożenia fortuny, powinnyby w miłosiernem sercu jaśnie pana znaleźć łaskę, względem ojca obarczonego liczną rodziną, którą z łaski Boga Wszechmocnego...

— Poczekajże mój panie—przerwał pan Joachim. — Nie wiem zupełnie o czem mówisz; pomyliłeś się zapewne, bo nic z tego, o czem wspomniałeś nie mogę wziąść do siebie. Nie pomnożyła mi się, o ile wiem, fortuna, nie widziałem pana nigdy, i nie mogę domyśleć się do czego zmierzasz.

— Ja wiem, że jaśnie pan wiedzieć nie może. Tego jeszcze w całem mieście nikt nie wie prócz mnie, a i ja tylko przypadkiem szczególnym, i dlatego myślę, że to sam Pan Bóg zesłał mi to jako los.

— Bój się pan Boga, mów jaśniej — upominał pan Joachim, który zaczynał się obawiać, czy nie waryata ma przypadkiem przed sobą.

— Będę mówił jasno — powiem od początku, jak mi to obowiązek mój każe, bo przyznać muszę, że mnie samemu, choć to bywałem na wozie i pod wozem, mowę prawie odjęło na razie. Otóż było tak, jaśnie panie. Będzie temu rok, a może więcej jak rok, ale dobrze mówię — rok chyba będzie, jak przyszedł do nas młody pan — taki akademik proszę jaśnie pana, jak to są akademiki wszystkie, tylko że bardzo grzeczny i piękny pan, i że to niby do mnie pierwszego każdy najprzód przyjść musi, więc i on też podchodzi i pyta...

— Choć szyję urznij — ani słowa nie rozumiem. Jaki młody pan? gdzie przyszedł? dlaczego z panem mówił najpierw?

— Młody pan, to syn jaśnie pana był...

— Nie mam syna.

— To ja nie wiem już, ale wiem, że nazwisko to samo i adres ten sam dał.

Tu wyjął na kartce wynotowane istotnie poprawnym handlowym charakterem imię i nazwisko Stanisława, wraz z nazwą ulicy i numerem domu.

— No dobrze, więc to jedno zdaje się sprawdzać. A teraz powiedźże pan, gdzie to jest to miejsce jakieś, o którem pan powiadasz „u nas"—co to jest to u nas?

— To jaśnie pan nie wie? „Wzajemna Eskonta." A prawda! to ja nie mówiłem, że ja jestem we „Wzajemnej Eskoncie." Jaki też to człowiek roztargniony, a to wszystko z tego zawrócenia głowy.

— Cóż pan robisz w tym banku?

— Woźnym jestem, jaśnie panie, woźnym najstarszym—od pierwszego dnia jak stanął bank — nikogo tam niema dawniejszego odemnie.

— No dobrze, ale co z tem wszystkiem może mieć wspólnego mój synowiec?

— Aha! to synowiec jaśnie pana — teraz wiem i zaraz powiem resztę. Otóż ten młody pan przychodzi w te czasy i powiada do mnie:

— Mój panie, czy u was sprzedają pożyczkę premiową?

— Sprzedają—powiadam — pan pewnie na raty?

— Nie—powiada.

— A kiedy nie, to może wielmożny pan i za gotówkę. A jakże, tembardziej za gotówkę — mówię, i odrazu pomiarkowałem, że mam do czynienia z osobą — nie byle z pierwszym. I zaraz też poprosiłem tego pana do pana Kalbsschnitzla, co załatwia u nas ten interes, zaprowadziłem do kratki, i to pamiętam—jak dzisiaj pamiętam, że na odchodnem powiedziałem jeszcze: Życzę szczęścia wielmożnemu panu — jak dzisiaj to pamiętam. Jak pragnę Boga przy skonaniu oglądać. No i stało się, jaśnie panie; w szczęśliwą godzinę wymówiłem. Mój Boże, czy mnie to na myśl nawet w tej chwili przyszło, że tu rok nie minie, a taki los — ha! wola Bozka już taka była, a mizerny człowiek jak ja, jej narzędziem marnem. Bo żeby się też tak było trafiło, żebym ja, zmęczony tego dnia, jak to ja już od południa zawsze bywam, żebym powiedział był, że niema pożyczki u nas, bo i to się biednemu człowiekowi zdarza, kiedy mu się już uszami przeleje, żebym ja tak był powiedział, to młody pan byłby sobie poszedł gdzieindziej, a taki grosz byłby się dostał komu innemu, albo nie daj Boże wymówić, został przy tych żydach poganach.

— Teraz znowu nic nie pojmuję.

— Wielka wygrana, jaśnie panie! Dziś, przed godziną—nikt nie wie jeszcze oprócz mnie i pana Wollenbeutla, który depeszę w godzinach pobiurowych odebrał, a że się tak zdarzyło, że akurat miał on klucz od ksiąg i pana Kalbsschnitzla u siebie, więc my się odrazu wszystkiego dowiedzieli. On, że to niby pana udaje, choć Bogiem a prawdą wszeteczny z niego żyd, jako i każdy inny, ale że się stawia, więc tedy powiada do mnie: Mój Pakulski, bo on mi tak mówi zawsze — cóż robić, jaśnie panie, takie już teraz parszywe czasy nastały—mój Pakulski, powiada, narzekałeś mi nieraz już na to, że to ja niby do napiwku prędki nie bywam, no i ot tobie napiwek za wszystkie czasy! On to tak mówi, bo on do nas z Odessy nastał.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Z działalności kasy literackiej.

Na odbytem pod dniem 29 Września posiedzeniu komitetu kasy literackiej pod prezydencyą Antoniego Pietkiewicza zadecydowano:

Przyjęcie podniesionej z depozytu Towarzystwa Dobroczynności sumy rs. 3,600 w listach zastawnych, ofiarowanych na fundusz wsparć dla wdów i sierot po literatach przez Ignacego Paderewskiego.

Zaakceptowanie wypłaty rs. 150 w myśl uchwały ogólnego zebrania na koszta pogrzebowe jednego z uczestników kasy.

Przyznanie zasiłku na kształcenie chłopca sieroty pozostałego po literacie.

Upoważniono nadto skarbnika do objęcia faktycznego w posiadanie willi w Zielonce i postanowiono, że o ile zgłosi się ktoś z literatów lub dziennikarzy z życzeniem zajęcia w niej lokalu na miesiące zimowe, oznaczyć należy minimalną za wynajęcie willi zapłatę.

Zawiadomił przewodniczący, że w odpowiedzi na wniesione przez niego pytanie kancelarya General Gubernatora Warszawskiego odpowiedziała przychylnie w przedmiocie urządzenia pięciu przedstawień amatorskich na dochód kasy z uwolnieniem od opłaty $^1/_{10}$ części osiągniętego funduszu na rzecz teatrów rządowych.

Nowych członków po odbytem balotowaniu przyjęto 12.

Dobroczynność.

Zarząd Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności powiadamia, że udzielana dotąd do jego rozporządzenia przez ks. Romana Sanguszkę zapomoga miesięczna rs. 50 dla najuboższych, obecnie przez ofiarodawcę cofniętą została, jednocześnie z przeznaczeniem jej do rozporządzenia biura nędzy wyjątkowej. Tam więc zwracać się powinny osoby, które do tej pory korzystały z tego funduszu.

Rada miejska dobroczynności publicznej w wykonaniu legatu objętego rozporządzeniem testamentowem ś. p. Kasyldy Kulikowskiej, podaje do wiadomości, że odsetki od żelaznego funduszu rs. 1,000 przeznaczone na zasiłki dla niezamożnych nauczycielek wynoszą obecnie 127 rs. Wybór kandydatek zależnym jest od decyzyi zarządu Schronienia nauczycielek.

Agituje się w sferach właściwych projekt wzniesienia w każdej gubernii Królestwa Polskiego specyalnego szpitala dla obłąkanych nieuleczalnych, których prowincya zaczyna mieć ilość znaczną. Jako fundusz na pokrycie kosztów utrzymania takich oddziałów wskazaną jest suma 250,000 rubli, ściągana z mieszkańców kraju tutejszego za pośrednictwem pięciokopiejkowego podatku szpitalnego.

Przeciw wyzyskowi.

Pisma codzienne powtarzają za „Dniewnikiem Warszawskim" wiadomość, że Magistrat miasta postanowił z dniem 13 Października zorganizować w Warszawie prawidłową sprzedaż węgla. Na ten cel zatwierdzono projekt pożyczenia od kolei obwodowej, prowadzącej do składów miejskich, linii podjazdowej, na której ruch wagonów rozpocznie się w oznaczonym terminie. W myśl projektu do składów miejskich węgla dostarczanych będzie miesięcznie 720 wagonów tego materyału opałowego, a codzienna sprzedaż wynosić ma 3,300 korcy czyli dwadzieścia mniej więcej tysięcy pudów, co stanowi jedną trzecią część całego zapotrzebowania w miesiącach zimowych. Oprócz składu przy placu Broni, magistrat urządzi osiem składów w różnych dzielnicach miasta; we wszystkich sprzedaż prowadzoną będzie tylko na korce i pudy.

Zarząd Towarzystwa zakładu gazowego w Warszawie ofiarował wszystkim swoim robotnikom po 2 korce koksu na miesiąc, poczynając od 1 Października na czas nieograniczony.

Zawiadamiają nas również, że wiele większych fabryk w Warszawie, takich mianowicie, które mają zakontraktowane dostawy roczne węgla po cenie zniżonej, postanowiły robotnikom swoim odstępować pewną niezbędną dla nich ilość opału, po cenie nabycia hurtownego.

Fundacya.

Okręg naukowy warszawski komunikuje pismom tutejszym wiadomość, iż niegdy właściciel dóbr Sarny w powiecie Garwolińskim ś. p. Ignacy Krzyczkowski testamentem swoim z dnia 14 Kwietnia 1886 roku i dwoma późniejszymi kadycylami, znajdującymi się w archiwach Sądu Okręgowego Siedleckiego, zapisał wymieniony majątek swój Sarny na rzecz funduszu stypendyalnego imienia fundatora, a to przez obracanie na ten cel dochodów, jakie on przynosić będzie. Na rok więc bieżący 1899/1900 ustanawia się z tego źródła 3 stypendya po rs. 600 każde, o które ubiegać się mają prawo kandydaci na warunkach następujących:

1-o. Przedewszystkiem synowie braci rodzonych zapisodawcy.

2 o. W razie gdyby takich kandydatów nie było, synowie rodzonych jego sióstr wyszczególnionych z nazwiska.

3 o. W braku powyższych kandydatów młodzież nosząca nazwisko testatora, a nakoniec młodzież stanu szlacheckiego gubernii Płockiej, wyróżniająca się zdolnościami i moralnem prowadzeniem.

Korzystać wogóle mogą z zapisu uczniowie szkół rządowych poczynając od 8 iu lat wieku, aż do ukończenia szkół i uniwersytetu, albo zakładów naukowych specyalnych zarówno w kraju jak zagranicą.

Z podaniem zwracać się winni ubiegający się o stypendyum do p. Ignacego Krzyczkowskiego dzierżawcy majątku Lipsk w powiecie Zamoyskim położonego — adres pocztowy: stacya Zamość. Do podania dołączyć należy świadectwa: pochodzenia i szkolne, które naznaczony wykonawca woli zmarłego przedstawi do zatwierdzenia Okręgu Naukowego.

Szkoła.

Powtarzająca się od dosyć dawnego czasu wieść o zakładaniu w bliskiej przyszłości szkół fabrycznych, znajduje podobno faktyczne urzeczywistnienie. Tak przynajmniej mówią pisma codzienne, opierając się na zapewnieniach gazety „Birżewyje Wiedomosti." Twierdzi mianowicie wspomniany dziennik, iż odnośne postanowienie zapadło już w ministeryum. Każda fabryka licząca 1,200 robotników obowiązaną będzie do założenia i utrzymywania własnym kosztem szkoły elementarnej, która nadto ma mieć charakter niższej szkoły technicznej z uwzględnieniem nauki rzemiosł i rękodzieł. Szczegółowy projekt zakładów naukowych tego typu opracowywanym jest właśnie w ministeryum.

Piękne ale drogie.

Tkaniny wynalazku Szczepanika, nabyte od konsorcyum eksploatującego pomysły tego wynalazcy, ukazały się w Warszawie. Są wyróżniająco piękne; znać tam niebywałą w wyrobach tego rodzaju subtelność rysunku przechodzącą wszystkie stare i nowe gobeliny, jednakże ze względu na cenę sprzedawną, dostępne są dla bardzo małej tylko liczby osób.

Narady kobiet.

Na posiedzeniu odbytem w dniu 29 Września w delegacyi pracy kobiet postanowiono ułożyć wykaz gospodarstw przemysłowych prowadzonych przez kobiety. Zgromadzeniem materyałów zajmą się wszystkie panie należące do sekcyi.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA."

Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa:
Wacława Sieroszewskiego: „Risztau," powieść.
Wł. St. Reymonta: „Lilli." Żałosna idylla.
Kazimierza Rojana: „Lepsze czasy," powieść.

Nakładem firmy Jana Fiszera:
De Amicis: „Serce," pamiętnik chłopca.
Al. Janowski: „Wycieczki po kraju."

Nakładem księgarni St. Zaleskiego:
Zeszyt okazowy „Ilustrowanej monografii kościołów."

Nakładem „Niwy Polskiej:"
Edmunda Demolins: „Potęga wychowania" (tłóm.)
Ridder Haggard: „Ona" (przekł. z ang.).

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

LABORATORYUM Chemiczno-Farmaceutyczne **Apteki M. MALINOWSKIEGO** w Warszawie, Nowy-Świat 35, telefonu 190 94 wyrabia **mydła** lekarskie **przetłuszczone:** Borne, Benzoesowe. Lanolinowe, Lecznicze, Wazelinowe **udelikatniające i chronią, ce skórę od pękania i łuszczenia się; antyseptyczne** oraz zastosowywane przy różnego rodzaju chorobach skóry przez lekarzy-

Gotowa bielizna damska i męzka.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55,

poleca na sezon jesienny i zimowy:

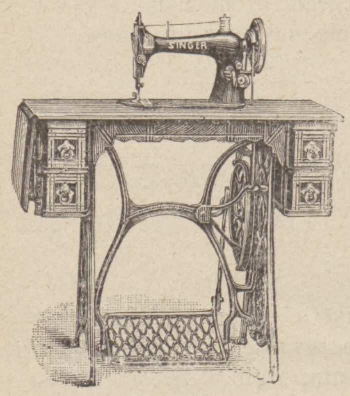
Flanele, Barchany, Materyały puchowe. Kołdry watowane, flanelowe i pluszowe. Ciepłe wyroby pończosznicze.

Płótna, ręczniki, chustki, stołowa bielizna letniego bielenia. Materyały meblowe.—Dywany.—Portyery.—Firanki.

Gotowe wyprawy od 100 rubli. 41

Gotowa bielizna damska i męzka.

ORYGINALNE



Singera maszyny do szycia są wzorowe w konstrukcyi i wykończeniu.

Singera maszyny do szycia są niezbędne dla użytku domowego, jak również dla przemysłu.

Singera maszyny do szycia są najwięcej używane we wszystkich zakładach fabrycznych.

Singera maszyny do szycia są niezrównane pod względem szybkości i trwałości.

Singera maszyny do szycia nadają się najlepiej do modnych haftów artystycznych.

Bezpłatna nauka szycia i haftu artystycznego.

Maszyn do szycia Kompanii Singer istnieje przeszło 400 odmian przeznaczonych dla różnych specyalności, a nabywać je można wyłącznie tylko w naszych własnych zakładach.

Oryginalne Singera maszyny do szycia zawdzięczają rozgłos swój znakomitej jakości i wyborowej konstrukcyi, któremi to zaletami od dawien dawna odznaczały się wszystkie fabrykaty Kom. Singer w New Yorku.

THE SINGER MANF'G. CO. TRADE MARK

Oryginalne tylko z obok zamieszczoną marką fabryczną i napisem *„The Singer Manfg. Co."*

137 **Manufakturna Kompania Singer,** Wierzbowa № 6.

WYSTAWA specyalnych maszyn do szycia dla wszelkiego rodzaju celów przemysłowych, **Mazowiecka Nr. 11.**

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

71 G NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów



Pianin i Organów

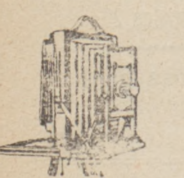
WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-44



Aparaty „Photo-jumelle," Aparaty „Anschütza," „Self-Worker" i „Verascope," najnowszej konstrukcyi. Najnowsze wywoływacze. Klisze „Atlas," „Fotol" i inne nowości. Poleca:

P. Lebiedziński

Krakowskie-Przedmieście 65 50

W zakładzie naukowym 3-klasowym

z kursem ściśle gimnazyalnym nauczycielki rządowego progimnazyum

STEFANII TARKOWSKIEJ

Chłodna 37.

zapisy pensyonarek, półpensyonarek i przychodnich przyjmują się codziennie od godz. 11 do 6. Egzamina wstępne 28 i 30 Sierpnia. Lekcye rozpoczną się 5 Września. 106

Fabryka Gorsetów WIŚNIEWSKIEJ

PRZENIESIONA

Czysta Nr. 8,

poleca gorsety skośne w najpiękniejszych fasonach od 6 rubli.

79 ***Marja Wiśniewska.***

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

N. TISSERANT

MISTRZYNI CECHOWEJ

ŻÓRAWIA Nr. 9.

Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły **„Moniteur de la mode"** Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa czeladnicze na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć. Na czas wakacyi ceny kroju zniżone. 92

APTEKA K. WENDY 45. Krakow. Przedm. 45. *Telefonu Nr. 107.*

Istniejąca od czasów elektorów saskich. 45

Wszelkie najnowsze środki lekarskie, Trany, Wina lecznicze, Mydła lekarskie.

Дозволено Цензурою Варшава, 20 Сентября 1899 г. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Andrzej Theuriet.

ZACISZE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

I.

Pascal Combette, pejzażysta, ze swoją teką przewieszoną przez ramię, szedł ochoczo wzdłuż ulicy przerzynającej wioskę Talloires. Droga to była wązka, a z powodu bliskości góry S t Germain, skąpo jeszcze oświetlona w tej rannej godzinie. Malarz postępował krokiem miarowym, wydzwaniając rytmicznie swoją kutą laską po kamienistym gruncie drożyny, a ta jego teka wraz z parasolem i resztą przyborów nieodbicie potrzebnych artyście w jego wycieczce, nie zdawała się ciężyć mu bynajmniej. Wysoki, silny, z twarzą rozjaśnioną, nakrytą miał głowę słomianym kapeluszem, przypominającym kształtem dzwon albo hełm, a jego rozdzielona w środku długa blond broda harmonizowała wybornie z wyrazem oczu przenikliwym a wesołym jednocześnie.

Gdy się wydostał na miejsce, gdzie ulica osady zamienia się na zwyczajną drogę wicynalną, olśniły go nagle promienie słoneczne, które ożywczo złociły i skaliste wyżyny Forclaz, i amfiteatr winnic, zdobiący drogę z lewej strony i błękitną toń jeziora Annecy, u wybrzeża którego uderzyły niespodzianie wzrok przechodnia otwarte szeroko wszystkie okna szaletu o białej fasadzie, przeświecającego poprzez kratę parkanu. Na tej kracie widniał od strony drogi napis: Villa „Zacisze.“

Jednocześnie ujrzał Pascal białą głowę dozorcy tej posiadłości, a że lubił gawędzić, i że go nadewszystko zaintrygował ten ruch wewnątrz szaletu, więc zatrzymując się, pozdrowił przez kratę dobrze znajomą sobie postać wieśniaka.

— Jak tam zdrowie, Ojcze Sebastyanie?

— Dziękuję bardzo. Jesteś pan zawsze grzeczny, panie Pascalu. Moje zdrowie: tak sobie. Myślę, że i pan ma się dobrze, bo inaczej nie pędziłby pan od rana samego ze swoim warsztatem całym.

— Idę pracować do Angon. Ale i wy, Ojcze Sebastyanie jakoś przy robocie o tej godzinie.

— A niech ją tam i robotę taką. Toż przed świtem jeszcze zacząłem to wietrzenie i oczyszczanie, a zresztą czekamy na pana...

— A więc nakoniec pan Grivaz zdecydował się zamieszkać w Zaciszu przez lato?

— Ani mu to w głowie. Wynajął Zacisze jakimś Paryżanom.

— Oh! to nie dobrze. Nie lubię nowych twarzy...

— Dla czego panie Pascalu? dla czego? Im więcej tych nowych twarzy przybędzie do Talloires, tem więcej grosza zostanie u ludzi tutejszych.

— Wy bo nie widzicie dalej, jak na odległość waszego nosa. Byleście sprzedali wasze jarzyny i wasz nabiał po wyższej cenie, mało was obchodzi, że ci ludzie obcy przeinaczą wasze obyczaje, że zaszczepią wam pragnienia zbytku, że wam zdemoralizują córki, a w dodatku jeszcze powznoszą potworne budowle i pomieszczą w nich swoje kassyna, bez których żyć nie mogą, oszpecając niemi do niepoznania te widoki niezrównane.

— Zrobią to naprawdę, panie Pascalu? jak Pan myślisz? Toby się dopiero handel ruszył!...

— Wy zawsze swoje. Do stu d...ów odsyłam turystów całego świata; żyją oni na podobieństwo przelotnego ptactwa, z tą jedynie różnicą, że ptak nie zatruwa atmosfery w pobliżu konarów drzew, na których spędza noc jedną.

— Ale! co Pan mówi. Ci państwo, którym pan Grivaz wynajął Zacisze, to wcale nie żadne przelotne ptaki. Najęli to wszystko na całe trzy lata. I służba i oni sami przyjeżdżają statkiem dzisiaj o godzinie 4-ej. Zdaje się, że to małżeństwo. Mąż nazywa się pan de Bellevaux.

— A to mi zupełnie obojętne, jak on się nazywa—odpowiedział z niechęcią malarz, zarzucając na ramię swoją tekę.—No, ale ja nie będę wam zabierać czasu moją rozmową — słońce podnosi się — do widzenia tedy mój poczciwcze.

— Szczęśliwej drogi życzę Panu...

Nasz artysta szedł dalej drogą ku Angon, ale mu skwasiła humor wiadomość udzielona przez starca.

Od trzech lat osiadł tu w tym zakątku Sabaudyi, pociągnięty wspaniałością krajobrazu, a chociaż był Paryżaninem z urodzenia, nawykł uważać ten kraj za swój własny, i przez nieuzasadniony niczem egoizm gniewało go, gdy mu przybysze jacyś naruszali cudną harmonię tutejszej dziewiczej przyrody. To też mruczał półgłosem, idąc:

— To nie mógł już ten osioł Grivaz zamieszkać sam w Zaciszu. Jest przecie Sabaudczykiem istotnym i nie psuje tak dalece osobą swoją całości obrazu.

Niech licho porwie wszystkich idyotów, wynajmujących swoje wille Paryżanom! Bellevaux!... Bellevaux!... Zkąd mi się to nazwisko wydaje znajomem?

Z tem słowem na ustach popadł w zamyślenie, i powtarzając sobie od czasu jego dźwięki, nie spostrzegł nawet, że cała praca mózgu zmierzała u niego w tej chwili do odgrzebania w tajnikach wspomnień jakiejś spójni między jego przeszłością a tem nazwiskiem. Otóż powoli przekonywał się, że brzmienie wyrazu „Bellevaux“ kojarzy się u niego ze wspomnieniem jakiegoś ogrodu pełnego dojrzałych owoców, a nawet zdawało mu się, że go zalatuje jakiś zapach dojrzałych brzoskwiń i renklod. Dalej zmartwychwstawać poczęły przed nim obrazy przepędzanych w domu rodzicielskim wakacyi szkolnych, w których się Pascal Combette ujrzał już wyraźnie wyrostkiem, w pewnym przylegającym do fabryki ogrodzie, a w tej fabryce był ojciec jego.

Nie tu kończyły się wspomnienia.

Niebawem na ich tle ukazała się sylwetka kobiety młodej jeszcze, ale odznaczającej się ostrym i twardym wyrazem fizyonomii. Ta kobieta, która pociągała nieraz Pascala za uszy, gdy się zbytecznie poufalił z temi brzoskwiniami i renklodami, nazywała się właśnie panią Bellevaux.

Wszystko tedy wyjaśniało się powoli jak najdokładniej. Ojciec Pascala Combette zarządzał fabryką ultramariny, i młody artysta widział już teraz najdokładniej lazurowe ściany wnętrza fabryki i pył lazurowy, unoszący się w powietrzu. Jakoś po trzech latach pobytu w tej miejscowości umarł ojciec Combetta, a Pascal, który się z lyceum w Langres przeniósł w tych czasach do paryzkiej akademii Sztuk Pięknych, nie zobaczył więcej owego zakątku w departamencie Wyższej Marny, o którym byłby sobie i teraz nie przypomniał z pewnością, gdyby nie gadulstwo starego Sebestyana.

— To byłoby szczególne — myślał młody malarz — gdyby ten Bellevaux jakiś, był właśnie synem owej baby, która jak dragon pilnowała swego sadu. A wreszcie jest czy nie jest jej synem, to mi wszystko jedno. Zbyt krótkiem jest życie, żeby je sobie wypełniać wspomnieniami podobnych epizodów. W tej chwili mam co innego do roboty. Może studyum jakoś dziwnie stoi w miejscu...

Dochodził teraz do domku wieśniaczego, ukrytego w orzeszynie. Zewnętrzne schody w szczycie tej budowli, tworzyły galeryjkę obrosłą u wierzchu kwitnącą czerwono geranią, a z tyłu siedziby przeświecała między konarami drzew tafla jeziora. To było wszystko, ale w tem ustroniu podobnem z pozoru do tylu innych mieściła się jakaś tajemnicza odrębność, jakiś czar niepochwytny, któremu Pascal od pierwszego widzenia oprzeć się nie mógł, i któremu na płótnie starał się dotąd nadaremnie nadać tyle charakteru, wiele go dopatrzyło w niem jego oko artysty.

Rozpostarł parasol, ustawił swoje krzesło składane i zaczął pracować tak gorliwie, że spostrzegł się dopiero, gdy ostry świst parowca, rozlegający się u brzegów jeziora zwiastował mu godzinę czwartą z południa.

— A więc nowi mieszkańcy Zacisza przybyli zapewne do przystani Abbaye — pomyślał, wstając Pascal, i zapaliwszy fajkę zaczął składać swoją przenośną pracownię.

W istocie, w tej chwili właśnie parowiec, noszący miano „Korony Sobaudzkiej“ wypuszczał hałaśliwie parę swoją u wybrzeża, a po chwili pan Grivaz wychodząc pierwszy na rzucony pomost, podawał rękę młodej kobiecie, ostrzegając ją uprzejmie.

— Niech pani uważa, pani Bellevaux; deski są oślizłe. Posługacz! odebrać od pani necessaire!

Niebawem kufry podróżnych ułożono na wybrzeżu, a pan Grivaz wskazując je wieśniakowi, oczekującemu przy debarkaderze, powiedział krótko.

— Sagon! odstawicie to wszystko do Zacisza.

Zwracając się zaś do przybyłych, przedstawił tonem grzecznego gospodarza domu:

— Nie mamy tu jeszcze urządzonej komunikacyi powozowej jak się należy, ale i to przyjdzie z czasem. Dzięki konieczności odbycia spaceru przymusowego, będą państwo mogli ocenić odrazu cały wdzięk krajobrazu, otaczającego przyszłe miejsce ich pobytu.

— Już to, co ztąd obejmuje oko — powiedziała cicho pani Bellevaux — uprzedza bardzo korzystnie.

— Oh! to jest niczem w porównaniu z tem, co ujrzymy niebawem — zachęcał pan Grivaz tonem zawodowego cicerone, co przy ruchliwości jego małej osoby, jego cerze świeżej i rodzimej przebiegłości pozwalało przybyłym podziwiać w nim typowego Sabaudczyka.

Pani Bellevaux należała do małej liczby kobiet, które w czterdziestym roku życia są jeszcze w całym rozkwicie wdzięków. Wysoka, szczupła, szczególnie harmonijnych kształtów, oczy miała jasno-niebieskie, a cerę nieledwie że przejrzystą. Nadawały jej piękności szczególnego charakteru włosy ciemnokasztanowego odcienia, a z całej postaci wydzielał się powab odurzający, spotęgowany instynktowym darem zjednywania sobie ludzi. Czarowała wyrazem twarzy i postawą, i pieszczotliwością spojrzenia, i harmonią dziwną kontraltowego swego głosu. A jednak przy tem bogactwie całem i przy chęci w półświadomej zwracania na siebie oczu ludzkich, dostrzedz można było chwilami pewne drgnienia twarzy, jakąś zmarszczkę czoła, zdradzające troskę czy niepokój wewnętrzny. Zaprzeczały te odruchy pogodzie spojrzenia, które wtedy wydawało się wypracowanem, albo też pozostałością jakąś czasów lepszych.

Pan Bellevaux pomimo, że miał w istocie tylko 35 lat, starzej wyglądał niż jego żona. Wzrostu średniego, w ruchach i obejściu poprawny, miał wygląd nieposzlakowanego gentlemena, nie bez odcienia jednakże pewnej nieśmiałości i chęci pozostania w cieniu. Całość rysów zdradzała raczej uczucie i nerwowość temperamentu aniżeli siłę charakteru. Dla żony wydawał się szczególnie uprzejmym i uważającym.

Wkrótce doszli podróżni do wnętrza wioski, a na widok tego zacieśnienia i tych zaułków fizyonomia p. Bellevaux zachmurzyła się nieco, co widząc właściciel Zacisza pośpieszył z objaśnieniem:

— Tak, wioska nie uśmiecha się, ale chwila cierpliwości — niebawem otrzymacie państwo zadosyćuczynienie.

I w samej rzeczy, domy i domki zaczynały rzednieć, i gdy się nagle rozszerzyła droga, wyprzedził nieco p. Grivaz swoich gości, a otwierając jedną połowę bramy, przemówił tonem zachęcającym:

— Jesteście państwo u siebie.

Odpowiedział mu jednozgodny wykrzyknik obojga małżonków:

— Ależ to piękne!—to prawdziwie piękne! W istocie od strony wjazdowej krajobraz okolicy przedstawiał się w całym majestacie. Oderwawszy oko od miniaturowego kwietnika willi, biegło spojrzenie w dal przez ciemną zieleń winnic, przez błękit jeziora Annecy na jego brzeg przeciwny. Tam w odleglejszej perspektywie, na tle rozsianych ogrodów, sadów i łąk wznosiły się wysoko lśniące dachy rezydencyi w Duingt, przerastające gęstwę platanów i kasztanów dzikich. Jeszcze dalej piętrzyły się złomy olbrzymie gór równoległych, a w rozwartym między niemi przedziale błyszczała znowu zieleń czarowna, złocona w tej chwili blaskami chylącego się słońca. Było to w istocie wspaniałe.

— Nieprawda? — zapytywał z dumą posiadacza p. Grivaz. — Wszak nie przechwaliłem? A teraz, jeśli państwo pozwolicie, obejrzymy mieszkanie.

Niczego nie oszczędził w tej ispekcyi lokatorom swoim uprzejmy gospodarz. Pokazywał wszystkie pokoje, zwracał uwagę na werendę obrosłą winem i glycinią, a choć ustawicznie zbaczał do przyrody, jako do strony najmocniejszej, nie zaniedbał wyciągnąć z kieszeni swojej zeszytu, dając do zrozumienia, że to byłaby pora właściwa zupełnie do odbioru inwentarza ruchomości. Wytrzymać tedy musieli państwo Bellevaux olbrzymi obrachunek stosów bielizny, porcelany, srebra i całej zastawy stołu, a nawet nie darował im miedzi w kuchni, i bateryi butelek wina zeszłorocznego zbioru, które zadeklarował odstąpić po cenie kosztu.

Kiedy mu wreszcie podpisali ten jego rejestr na kilkunastu stronnicach pomieszczony, włożył go w kieszeń z uczuciem zadowolenia, i wynagradzając cierpliwość nowo przybyłych, zaczął ich wreszcie żegnać, nie zapomniawszy o życzeniach szczęśliwego pobytu w Talloires.

Odetchnęli nareszcie; chociaż niedługo wolno im było kosztować widoków okolicy i cieszyć się tą swobodą po uwolnieniu się od natręctwa człowieka obcego a gadatliwego.

Pora była obiadowa, i służąca właśnie przyszła oznajmić, że podano do stołu. Weszli tedy na pierwsze piętro, ale i teraz czuli na sobie przez cały czas śledcze spojrzenia tej dziewczyny, która ich obserwowała, jak to czynią wieśniacy, gdy mają Paryżan przed sobą. Odpowiednio też do spostrzegawczości swojej, zdawała za każdym przyjściem z sali jadalnej raport kucharce.

— Szczególni ludzie — mówiła. — Robią do siebie słodkie oczy, a nie mówią prawie wcale; wyglądają na gołąbków, a jak się które odezwie, to tak, jak gdyby żyli ze sobą dwadzieścia lat.

Nakoniec gdy po podaniu czarnej kawy pozostali sami — odezwał się pan Bellevaux:

— Cóż Łucyo — zadowolona jesteś?

— Więcej niż powiedzieć mogę. I kraj, który nas otacza i mieszkanie, które zastajemy, przeszły moje oczekiwania.

— Tak i mnie się wydaje. A już zaczynałem tracić otuchę, gdyśmy przechodzili przez tę wioskę ponurą. Jezioro Annecy znałem oddawna i wiedziałem, że ci się ono podoba, ale niepokoiła mnie myśl o siedzibie samej.

— Niepokoiła cię przez wzgląd na mnie. Zawsze jesteś dla mnie niewyczerpany w dobroci i staraniach.

Wstali od stołu i po uścisku wzajemnym zdawali się w milczeniu dłuższem kosztować jego słodyczy. Zmierzch zapadał tymczasem, purpurowa linia świeciła jeszcze na zachodzie, ale nić ta powlekała się już pomroką, a gwiazdy przeświecały tu i owdzie na przestrzeni firmamentu. Ruch na drodze przycichał coraz bardziej, a o życiu tej okolicy zapadającej w senność, świadczyły tylko światełka błyszczące w oknach mieszkańców.

— Co za spokój! — odezwała się półgłosem pani de Bellevaux.

— Tak jest spokój i cisza. Ufajmy, że nazwa tej miejscowości, w której żyć mamy, okaże się proroczą.

— Niech to Bóg da—odpowiedziała Łucya z lekkiem drżeniem w głosie — ale ja lękam się zaufać tej nadziei, bo rozczarowanie byłoby tem dotkliwszem dla nas.

— No, ale dla czego nareszcie nie mielibyśmy tu być szczęśliwi?

— Dla tego mój przyjacielu, że nikt nie może zakosztować słodyczy szczęścia, jeśli to szczęście zamierzył kupić za cenę kłamstwa. To też ja nawet w chwilach takich, jak ta—w chwilach, w których jest mi zupełnie dobrze, doświadczam zawsze nagle jakiegoś niespodziewanego dreszczu na myśl, że czycha na nas znowu niespodzianka złowroga.

— Co za dzieciństwo!—zaprotestował z mimowolnem drżeniem głosu.

— Wybacz! nie powinnam ci była mówić tego, dzisiaj przynajmniej. Ale cóż chcesz; czuję się niekiedy zwyciężoną.

II.

W gruncie rzeczy, w obawach pani Bellevaux nie było nic przesadzonego, a Robert nazywał je niesłusznie dziecinnemi, zwłaszcza, że znał równie dobrze jak ona ich niezaprzeczoną i realną podstawę. Przy słabym charakterze zwykł był ten człowiek zamykać oczy na każde niebezpieczeństwo, a jeśli mu radził, radził w ostatniej chwili dopiero.

Chcąc poznać pobudki owych niepokojów i obaw, musimy w życiu tych dwojga ludzi cofnąć się wstecz o lat parę.

Pascal Combette ani się domyślał, że mający przybyć w dniu owym do Zacisza Robert Bellevaux, pochodził z rodziny znanej artyście w epoce jego dzieciństwa. Ojciec Roberta wynalazł jakieś ulepszenie upraszczające w fabrykacyi ultramariny i z tym sekretem rzucił się na założenie w okolicy Langres fabryki własnej, która wkrótce zyskała znaczne powodzenie. Żona tego przemysłowca pani Aglaë de Bellevaux była właściwą przewodniczką domu, co nie dziwiło nikogo, kto znał charakter tej kobiety ostry i despotyczny, o czem pewne niejasne wspomnienia pozostały, jak słyszeliśmy, nawet w pamięci małego Pascala.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SKŁAD FUTER

Karola Rothera,

egzystujący od lat 30-tu,

z powodu znacznego podwyższenia komornego, został przeniesiony z rogu Bielańskiej i Senatorskiej 144

na Nowo-Senatorską Nr. 9.

RĘKAWICZKI

tanio 108

mocno szyte poleca pracownia

HENRYKA KOWALKIEWICZA

Bracka 27 sklep przy ul. Chmielnej

! Obstalunki na garnitury Jelenie !

Nagrodzona na wystawach w Niżnim Nowgorodzie i Kijowie

FABRYKA

portyer, kap, serwet pluszowych i wełnianych.

A. SILBERSZTEJNA

22 Leszno 22

przyjmuje wszelkie wyszycia na różnych materyałach 112

F. Pierzchalski

MAZOWIECKA 8

SKŁAD SZKŁA

krajowego i zagranicznego

WYBÓR DUŻY.
CENY PRZYSTĘPNE.
Własna Malarnia Porcelany.
Ogromny wybór przedmiotów do upiększenia.

123

Broszki, Bransolety, Kolczyki Pierścionki, Spinki, Szpilki

i t. p. poleca 27

Magazyn i Pracownia Jubilerska

J. LIPOWSKI i S-ka

TRĘBACKA 9.

Wyroby własne gustowne. Ceny fabryczne.

KREMINA do farbowania firanek, koronek, wstążek i batystów na kolor kremowy — Cena torebki 5 kop. Dostać można we wszystkich składach Aptecznych. 126

Pierwszorzędny magazyn pościeli

A. DREXLERA

Nowo-Senatorska 2, wprost Hotelu Rzymskiego 121

poleca w wielkim wyborze: Kołdry wełniane, atłasowe wojłokowe. Materace sprężynowe, włosiane i waldharowe. Poduszki z pierza i puchu. Dywany strzyżone. Kapy na łóżka. oraz bieliznę pościelową. Koce Grefembergskie do wodnej kuracyi.

Uwaga. Obstalunki wyprawne pościele, oraz listowne zamówienia z prowincyi, załatwiają się pośpiesznie i dokładnie po możliwie niskich cenach.

Dla kaszlących i osłabionych Ekstrakt i Karmelki

LELIWA

W składach aptecznych i Aptekach. 135

ZŁOTA Nr. 4, przy Marszałkowskiej.

Specyalna Szkoła kroju i szycia sukien i t. p. konfekcji damskich i dziecinnych

PELAGII GAŁECKIEJ

Nauka kroju i szycia sukien i t. p. ubiorów damskich i dziecinnych prowadzoną jest według ***metody A. Gałeckiej na sposób francuski*** gruntownej i łatwej, zapewniającej odrazu osobie uczącej się ***byt i samodzielność. Książka „Metoda nauki kroju przez A. Gałecką Rub. 1 kop. 50.“***—Można nabyć w księgarniach i szkole.

Gruntowna nauka kroju Rub. 10 sukien damskich i dziecinnych.

Wielotysięczny kontyngens uczennic, a nawet i uczniów—krawców ***Szkoły Gałeckiej, nagr. medal.*** prowadzą magazyny, pracownie, szkoły kroju w Cesarstwie, Warszawie i za granicą. Poszukiwane są jako direktrysy—nauczycielki.

Świadectwa wydaję uczennicom, kończącym całkowitą naukę kroju i szycia. Uczennice przyjezdne przyjmują się z mieszkaniem i stołem. 143

ZŁOTA Nr. 4, przy Marszałkowskiej.

ZMIANA ADRESU.

Magazyn Futer i Okryć Damskich

JAKÓBA PAWEŁEK,

mieszczący się przez lat 16 przy ulicy Czystej 6, z dniem 8 Października przeniesiony będzie na **Krakowskie-Przedmieście № 6,** vis à vis Kościoła Św. Krzyża

O czem mam zaszczyt zawiadomić Wielmożną Klijentelę.

Z uszanowaniem

146 *Jakób Pawełek.*

Nowo-wynaleziony pas brzuszny

„WIKTORYA“



dający się za pomocą śrubek zastosować w każdej potrzebie, wskutek czego wszelkie poprawki są wykluczone, lekki, trwały i nader praktyczny, o czem uprz. przekonać się prosimy—poleca zarówno dla pań jak panów.

Firma „WYGODA“

Marszałkowska 118, 1-e piętro.

CENY stosownie do rozmiaru rb. 9 i 11.50 kop. Zlecenia zamiejscowe wykonywamy za zaliczeniem pocztowem. Do obstalunku należy dołączyć obwód pasa brzusznego, mierząc naokoło w najtęższem miejscu. 85B

UWAGA. Zwracamy bezzwłocznie pobrane pieniądze, gdyby pas dla jakich kolwiek powodów okazał się niedogodnym.

SZKOŁA KROJU

STEFANII KUCZYŃSKIEJ

połączona ze znaną pracownią ubiorów damskich „Pelagji“

Żórawia Nr. 1,

za pomocą przystępnych w 4-ch językach wykładów wyucza w bardzo krótkim czasie kroju i szycia. Dla uczenic z prowincyi znajduje się na miejscu pomieszczenie z fortepianem, ze staranną opieką domową. 128

Przeko



nać się choć raz jeden najuprzejmiej proszę, iż paczka funtowa (tylko kop. 20) „Bielidła“ mego zawsze ze znakiem jak uboczny, oraz z moim podpisem, starczy conajmniej za kilka funtów podrabianego bielidła. Sprzedaż w składach aptecznych, w porządniejszych składach mydła i t. d. B. Landy, Warszawa, ul. Leszno 27.

145

MAGAZYN MEBLI

ANTONIEGO STRÓMIŁO

Bracka Nr. 25.

Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.

CENY NIZKIE. 1020-52 41

WAŻNA WIADOMOŚĆ!



Taniej niż wszyscy handlarze w mieszkaniach prywatnych sprzedaję od dziś dnia świeżo przybyły transport Kanarków z gór Harcu i Tyrolu, indyjskie, brazylijskie i amerykańskie salonowe ptaszki śpiewające. Papugi gadające, Kakadu białe i różowe, Inseparables, czerwone Kardynały, chińskie słowiki, złote i srebrne rybki, groty, akwarya, eleganckie klatki i wszystkie gatunki muszli, oraz wyroby z tychże i z bronzu. Uprasza się o zwrócenie uwagi na ceny w oknie wystawowem. **Nowo-Senatorska № 7, Ernest Peszel.** 83

Biuro pomocy prawnej

dla drobnych kupców i rzemieślników

(Adw. Stanisław Pawiński, Władysław Korycki, Józef Ostroróg-Sadowski i Wacław Laskowski) przeniesiono na ulicę **Świętokrzyska № 5.** 88

Biuro otwarte od 10 rano do 3-ej po południ.

KAUCYONOWANE

Biuro Nauczycielskie

BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ

Warszawa, Ś-to Krzyzka 44.

Zakład Stolarski

D. SIARKIEWICZA

w Warszawie,

Grzybowska Nr. 62.

Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe, budowlane, urządzenia sklepowe i t. d.

Wyrób staranny. **Ceny nizkie.** 19

UWAGA — 5 ŻABIA 5 — UWAGA

ROMAN DĄBROWSKI

POLECA

NOWOŚCI na sezon jesienny i zimowy

Kapelusze damskie i dziecinne ubrane oraz fasony. Czapeczki, mufki i naszyjniki futrzanne najświeższych fasonów.

Ceny fabryczne. 127

Egzystuje od 1840 roku.

FABRYKA SZCZOTEK I PĘDZLI

W. BIELSKIEGO

w Warszawie, ulica Marszałkowska **147.** Telefonu **1440.**



Poleca wszelkie wyroby w zakres szczotkarstwa wchodzące, w wielkim wyborze, z najlepszych materyałów wykonane. Posiada na składzie wielki wybór wycieraczek kokosowych, grzebieni do włosów z rogu, kości i szyldkretu; gąbki, zgrzebła, skórki do powozów i t. d. 141

Najmniejsza ilość towaru przesyłana być może za zaliczeniem pocztowem lub kolejowem. Kto raz kupi, pozostaje nadal moim stałym klientem przekonawszy się o wysokiej dobroci towaru. **Na markę fabryczną uważać proszę.**

W. BIELSKI WARSZAWA — FABRYCZNA MARKA

35 **KROAZY.** KROAZETKI, GROLINY i wszelkie dodatki do sukien. **TOWARY NORYMBERSKIE.** Przybory do gorsetw i Towary doborowe damskiej konfekcyi. Wybr wielki. Ceny najniższe. Poleca: **Antonina Plichta** ul. Ś-to Krzyska Nr. 18.

MAGAZYN MEBLI **A. JÓZEFOWICZA** 98 Nowy Świat Nr. 28. Życzącym *na Raty.*

Łyżki, widelce, noże, oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem po cenach możliwie nizkich **TEOFIL PYCZ** 4, iodow a 4, w arszawie. 21

SZKOŁA TAŃCÓW
Henryka Czarneckiego
Marszałkowska III.
Udzielam lekcyi prywat. w zakład. nauk. i u siebie. 119

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***
w Warszawie, Nowy-Świat 21. 8

JAN REIMANN

Fabryka biżuteryi i ozdobnej galanteryi



z Czeskich granatów.

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście №. 43.

Fabryka i skład główny w Pradze (Czeskiej) Príkopy 10.

Filje: w Wiedniu, Berlinie, Hamburgu, Karlsbadzie, Cieplicach. 113

Zawiadamiam Rodziców i Opiekunów, że z upoważnienia Władzy Naukowej otwieram przy ulicy św. Barbary Nr. 10 (między Żórawią i Wspólną, wprost kościoła na Koszykach)

2-klasową SZKOŁĘ MĘZKĄ
z klasą przygotowawczą

Do klasy wstępnej przyjmuje chłopców, którzy ukończyli 7 lat, bez umiejętności czytania i pisania.
Zapisy odbywają się codziennie od godziny 10—3. Lekcye rozpoczną się dnia 13 (25) września.
Szkoła przygotowuje uczniów do realnych szkół rządowych, filologicznych gimnazistów i szkoły komercyjnej W-go Ronthalera. 130

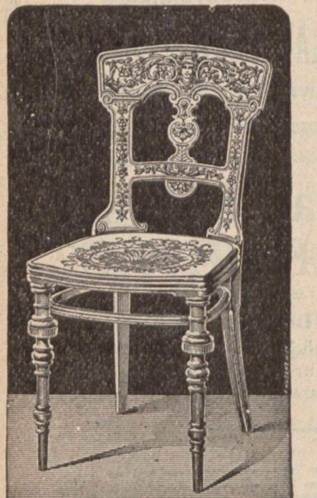
KAROL SCHULZ

Egzystująca od 1858 r.

PRACOWNIA GORSETÓW
L. STANISZEWSKIEJ



przy ulicy Miodowej, została przeniesiona na ul. **Nowy-Świat №. 42,** poleca gorsety tkane, to jest bez szwu, podług najświeższych paryskich fasonów, bardzo wygodne i szyte oraz specyalne dla osób ułomnych, po cenach możliwie nizkich. 131



AKCYJNE TOWARZYSTWO
Fabryki Mebli Wiedeńskich
JAKÓBA i JÓZEFA KOHN
Warszawa, Plac-Teatralny № 11.
Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
mianowicie:
MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.
Pierwsze źródło tej branży.
CENY PRZYSTĘPNE. 81

SZKOŁA KROJU I SZYCIA UBIORÓW DAMSKICH
z pensyonatem
EMILII EHRENKREUTZ
Mistrzyni Cechowej z medelem i dyplomem Akademji krawców paryzkich.
Warszawa, Chmielna 24. 133

!! Dla tego tanio, bo na 1-em piętrze !!
Dywany, materyały meblowe, firanki, serwety, kapy, kołdry, chodniki, ceraty i t. p.
w składzie **H. Radeckiego**
Marszałkowska ***Nr. 112.*** 1-sze piętro pomiędzy Chmielną i Złotą.
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 65

Proszę zwrócić uwagę na markę ochronną.

PAROWA FABRYKA
Kawy Palonej



pod firmą
IMPORT KAWY
L. B. Jankiewicz,
Warszawa, Leszno 68. Telefon.

POLECA
KAWY PALONE,
!! Codziennie świeże !!
a szczególnie:

Gospodarską	№ 2 za funt	rb.	0.65
„	№ 1 „ „	rb.	0.75
Mięszanki:			
Karlsbadzką	„ „	rb.	0.85
Wiesbadeńską	„ „	rb.	1.00
Wiedeńską	„ „	rb.	1.10
Wyłącznie na czarne kawy:			
Deserową	№ 2 . . . za funt	rb.	1.15
„	№ 1 . . . „ „	rb.	1.20

W oryginalnych opakowaniach od 1/1 — 1/2 — 1/4—1/8 funta opatrzonych banderolą i znakiem ochronnym.

Sprzedaż detaliczna we wszystkich handlach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi, oraz Składach Win zagranicznych **Caves du Grand Hôtel de l'Europe** ulica **Czysta; Grand Caves de Bordeaux, Mazowiecka 20** i **J. A. Stegmann, Marszałkowska róg Chmielnej.** 54

Sposób użycia załączam przy flakonach i wysyłam na żądanie gratis i franco.



CAPILLIFER

ŚRODEK
wzmacniający cebulki włosów niszczący łupież, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką. Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2, 3, 4** i **6** rubli **Mydła specyalne do włosów po 20, 30 i 40 kop. sz.** Pozwolenie Urzędu Lekarskiego za Nr. 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż u wynalazcy
T. L. GRABOWSKIEGO
61 **Aleja Jerozolimska Nr. 70.**
Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem

Portrety olejne
Ludzi Znakomitych:
Królowej Jadwigi, Sobieskiego, Stefana Czarnieckiego, Ks. Skargi, J. I. Kraszewskiego
Każdy rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 50. Pięć portretów razem rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 50.
Cykl obrazów kolorowanych, pod ogólnym tytułem
Błogosławieństwo temu domowi:
Ojcze nasz. Zdrowaś Marya. Wierzę w Boga.
Każdy po rs. **1** kop. **50.**
Obraz kolorowany *Fr. Kostrzewskiego* **Rozkosze dziadunia** rs. 1.
Nabywać można w Administracyi Biesiady Literackiej,
Warszawa, Chmielna 26
oraz we wszystkich księgarniach.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich
Zofii ŁĘCKIEJ
HOŻA 27, m. 22,
Wykonywa wszelkie roboty po bardzo niskich cenach.